— Przelazłem, to sprawdziłem. Musiał go koń ponieść w las... Trzeba rozpalić pochodnie i szukać...

W tej samej chwili usłyszeli nawoływanie z głębi boru po prawej stronie.

— Doliwa!

— Liwić! — odkrzyknął na zawołanie Chwał i po chwili dostrzegli zaginionego. Szedł, prowadząc konia za uzdę. Ale nie wyszedł z boru sam. Obok niego było trzech pieszych, w płaszczach i z bronią, bez koni.

— Szyrzyk! — zawołał Władysław. — Napędziłeś nam strachu! Kogo do nas prowadzisz?

— Rycerzy — roześmiał się najstarszy z braci Doliwów — ale jak się sobie przedstawialiśmy, to grzmiało, więc może powtórzą.

Polubion i Chwał jak na zawołanie położyli dłonie na rękojeściach puginałów. Trzech obcych rycerzy w książęcym lesie to jest powód do zastanowienia. Władysław poprawił kołpak i osłonił dłonią oczy przed ostro zacinającym śniegiem. Dwaj z przodu byli rośli, nie pierwszej młodości, ale i nie starzy, tyle że ich twarze były nieogolone, przez co wyglądali na zaniedbanych. Trzeciego nie było dobrze widać, trzymał się z tyłu. Jednak gdy podeszli bliżej, ci dwaj rozstąpili się, robiąc miejsce tamtemu. Władysław zamarł. Naprzeciw niego stanął mężczyzna jego wzrostu.

— Grunhagen — przedstawił się, patrząc księciu prosto w oczy.

— Niemiec? — zapytał Polubion.

— Bawarczyk — odpowiedział z łamanym akcentem przybysz. — Wracamy z towarzyszami z zimowej rejzy.

— Przyjaciele zakonu? — chciał uściślić Chwał.

— Wędrowni rycerze. Byliśmy z krzyżowcami na rejzie na Litwinów.

— To nie są krzyżowcy. To Krzyżacy — poprawił go Polubion.

— Wybacz, rycerzu. Słabo mówię po polsku — powiedział Grunhagen.

Władysław nie mógł przestać patrzeć na przybysza. Po raz pierwszy w życiu widział rycerza, któremu patrzył prosto w oczy bez unoszenia głowy. To go tak przykuło, iż nawet nie bardzo interesował się tym, co ten Grunhagen ma do powiedzenia. Chłonął jego muskularną sylwetkę, brudny zarost na policzkach, żylastą dłoń, którą przytrzymywał płaszcz na piersi. Oczywiście, Władysław żył tak, jakby wszystko było w porządku. Odkąd skończył szesnaście lat, zaczął oswajać się z tym, że już raczej nie urośnie, że większość dorosłych mężczyzn będzie patrzyła na niego z góry. Miał więc prawie dwadzieścia lat, by to do niego nazbyt dobitnie dotarło.

Nie, żeby się z tym godził, ale jakoś z tym żył. I oto teraz, w środku boru, w śnieżnej burzy spotyka rycerza, który jest tak samo niski jak on.

— A dokąd teraz zmierzacie? I gdzie wasze konie? — Chwał w przeciwieństwie do swego księcia nie tracił głowy z powodu spotkania małego rycerza.

— Chcieliśmy dotrzeć do Łęczycy, do kolegiaty w Tumie — powiedział Grunhagen, patrząc księciu prosto w oczy. — Burza zastała nas na popasie, konie zerwały się, słudzy pobiegli za nimi w las. Ale za to złapaliśmy konia waszego towarzysza, pana Szyszka.

— Szyrzyka — poprawił Chwał.

Grunhagen rozciągnął usta w czymś w rodzaju uśmiechu i powiedział:

— To imię czy przezwisko? Bo pierwsze słyszę. Świętego Szyszka też chyba nie ma, albo coś przeoczyłem w Litanii do Wszystkich Świętych...

— Daj mu spokój, bracie — wziął przybyszów w obronę Szyrzyk. — Konia mi znaleźli i oddali.

— Tak było — potwierdził Grunhagen. — My się przedstawiliśmy grzecznie, a z kim mamy przyjemność?

Chwał spojrzał pytająco na brata. Ten rozłożył ramiona przepraszająco.

— No, nie zdążyłem powiedzieć... panie Grunhagen, towarzysze, zegnijcie kolano przed księciem kujawskim Władysławem.

Grunhagen gwizdnął z podziwem i klęknął, schylając głowę. Klęknął przed Władkiem. A ten pomyślał, że przybysz musiał o nim słyszeć, bo w przeciwnym razie zgiąłby kolano przed którymś z jego druhów, co się zresztą nie raz zdarzało.

— ...zaszczycenie wielkie... — mówił Grunhagen do śniegu.

— Wstańcie — powiedział książę. — Ja wprawdzie jeszcze nie jadę do Łęczycy, ale zapraszam was do myśliwskiego dworu, tu nieopodal. Bądźcie dziś moimi gośćmi, bo polowanie i tak już przepadło.

Wstydził się przyznać, że chce napatrzeć się jeszcze na tego człowieka i żal mu stracić taką okazję. Poza tym ostro zacinała śnieżyca, stary żubr pewnie już dawno zaszył się w jakimś mateczniku czy też innym miejscu, gdzie chowają się żubry, a Władysław zmarzł.

— Grzane piwo! — przywitał gości Maciej pełniący rolę stolnika i cześnika jednocześnie, gdy po krótkim czasie dotarli do dworu, a w ich nozdrza wdarł się zapach pieczonego mięsa.

Modrzewiowe ściany dworzyska obwieszone były trofeami. Łopaty danieli, potężne wieńce jeleni, skóry dzików i niedźwiedzi. Środkiem dużej izby biegło palenisko z rusztem, na którym kończyły się piec dwa potężne żubrze combry. Po obu jego stronach stały zarzucone błamami futer ławy. Tu książę i jego kompani odpoczywali po łowach.

Władysław zasiadł wygodnie, wypił duszkiem pierwszy kubek piwa i powiedział:

— Zatem zmierzacie do kolegiaty w Tumie. To pech, bo kolegiata jeszcze nie odbudowana po pożarze. Nie wspomnieli wam Krzyżacy o napadzie Litwinów na Tum?

— My właśnie w tej sprawie — odparł Grunhagen.

Władysław przypatrywał mu się chciwie. Rycerz miał jasne, teraz brudne włosy odgarnięte do tyłu. Odsłonięte wysokie czoło przecięte kilkoma głębokim zmarszczkami, nieduży i niezbyt kształtny nos, policzki i brodę pokryte nierównym zarostem i coś, co przykuwało wzrok — intensywnie zielone oczy pod jasnymi, krzaczastymi brwiami. Na jego towarzyszy książę nie zwracał uwagi, odnotował jedynie, że siedzą obok. Piją jego piwo, jedzą jego chleb i mięso upolowanych parę dni temu żubrów. Niech sobie jedzą, na zdrowie.

— Zaciekawiam się — odparł książę — choć ostrzegam, iż ten napad to nie jest sprawa dla nas miła. Nie było mnie wtedy w księstwie. Walczyłem o Kraków. — Wyprostował się, mimowolnie kładąc dłoń na podwójnym łbie herbowej bestii na piersiach.

Gość wyciągnął spod kaftana coś niedużego, owiniętego w kiepskiej czystości materię. Ucałował z uszanowaniem i położył przed Władysławem. Książę czubkiem palca odsunął materiał i zamarł. Uniósł na Grunhagena oczy.

— Skąd to masz? — zapytał gwałtownie.

Bracia Doliwowie: Chwał, Polubion i Szyrzyk pochylili się, by zobaczyć, co to takiego. Szyrzyk przeżegnał się szybko.